

TYDZIEŃ 44

PTAKI NA DRUCIE

Tego, że mądra filozofia życiowa nie musi bujać w obłokach, lecz może mieć bardzo praktyczne znaczenie, Viktor E. Frankl dowiódł swoim podejściem do przemijalności wszelkiej ziemskiej egzystencji. W myśl tego podejścia nieprzemijalne jest wyłącznie jedno, a mianowicie to, co już przeszło. W przeszłym istnieniu w istnieniu! – jest ono chronione przed przemijalnością. Można „przyjaciół” śmierć nie może już tego, jak wiemy, naruszyć: nie może tego ani skorygować, ani wyeliminować. A jeśli było ono czymś wartościowym, to jego wartość jest wiecznotrwała. Oto fragmenty dwóch (spośród wielu) przysłanych do mnie listów, których autorki ukazują w sposób wzruszający praktyczną użyteczność tego podejścia:

LIST 1

Droga pani Lukas, pragnę Pani z serca podziękować za to, że w swojej książce napisała Pani tak jasno i zrozumiale o radzeniu sobie z przemijalnością. 26 lipca tego roku nasza córka umarła w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży. 30 lipca przyszła na świat naturalną drogą. Jest to cios losu, który mnie dosięgnął. Przez pierwsze tygodnie po tym wydarzeniu nosiłam z sobą Pani książkę i kiedy odczuwałam potrzebę, czytałam ją. Bardzo mi to dobrze robiło. Pomaga mi szczególnie to miejsce, gdzie Pani tłumaczy, że smutek odzwierciedla nasze «bogactwo». Tak świadomie nigdy jeszcze nie myślałam o swoim stosunku do pewnych wartości. Teraz w swoim smutku i bólu mogę zarazem uznać się za szczęśliwą ze względu na piękne chwile, jakie przeżyłam, oczekując z radością przyjścia na świat córki. To wiele mi daje!

LIST 2

Słyszałam w ubiegłym tygodniu Pani prelekcję na temat sensu życia. Szczególnie podobała mi się przy tym relacja o chorych na AIDS, którzy jeszcze na krótko przed śmiercią malowali ikonę i doświadczali w tym sensu: było to ich arcydzieło, ukoronowanie ich życia. (Przypis: Przeszkoleni w dziedzinie logoterapii pracownicy pewnego sycylijskiego hospicjum urządzili dla osób ciężko chorych, które czekały już tylko na śmierć, pracownię malarską. W obrazach chorzy ci mogli umieścić wszystkie swoje marzenia, tęsknoty i nadzieje, niemające już szans na urzeczywistnienie).

Mam 65 lat, a moje życie zostało przekreślone w wieku 35 lat przez nieszczęśliwy wypadek, wskutek którego doznałam ciężkiego urazu głowy. Od tej chwili nie mogłam już wykonywać swojego zawodu i musiałam pójść na rentę inwalidzką. A że byłam do tego zawodu ogromnie przywiązana, oznaczało to dla mnie katastrofę. Czułam, że moje życie jest zmarnowane. Otóż od dziesięciu lat opiekuję się codziennie swoją mamą w domu spokojnej starości. Dzięki Pani relacji przyszła mi do głowy taka myśl: Przecież to właśnie jest moje arcydzieło, ukoronowanie mojego życia! Ta myśl, że tworzę swoje arcydzieło, daje mi siłę fizyczną i duchową, by pójść do mamy. Chodzę wprawdzie do niej chętnie, ale mam słabe zdrowie i niekiedy jestem prawie u kresu sił. Pozostaję tam przeważnie do godziny 21.30. Mama ma 96 lat i biada, kiedy opuszczam ją wcześniej. Jest jak dziecko. Czekam więc, aż usnie, i wtedy wychodzę, zrobiwszy jej na czole znak krzyża. Powiedziała Pani w prelekcji, że wszyscy chorzy na AIDS zdołali, jakby cudem, namalować do końca swoje ikony, zanim umarli. Dla mnie oznacza to, że i ja będę miała siłę opiekować się mamą, dopóki nie odejdzie z tego świata. – Droga pani Lukas, chciałabym, aby Pani wiedziała, jak bardzo Pani prelekcja mi pomaga i dodaje zapału! Nie jestem już odtąd «niezdolna do pracy», a więc jakies «ladaco»; nie, tworzę swoje «arcydzieło»! Bóg zapłać!

Podziękowanie należy się właściwie Franklowi, jako że ja czerpałam przecież tylko ze skarbcza jego myśli.

Do jego filozoficznych pereł zaliczyć też trzeba tę odnoszącą się do pytania, na które prawie nie ma odpowiedzi: dlaczego

w naszym świecie w ogóle istnieją i muszą istnieć cierpienie, śmierć i inne ciosy losu. Czy dzieła stworzenia nie można było pomyśleć bez tego wszystkiego? Nierzadko kierowane są pełne wyrzutu protesty do Stwórcy, krytyczne spojrzenia ku obrazom przedstawiającym dobrotliwego Boga Ojca, który trzyma rękę nad swymi stworzeniami. Gdzie jest ta ręka, kiedy toną dzieci, kiedy pod kołami aut giną przechodnie, kiedy trzęsienie ziemi grzebie całe rodziny, kiedy płomienie pochłaniają domy? Gdzie można ją dojrzeć w piekle cierpiącego stworzenia?

Viktor E. Frankl nie miał z tym żadnego problemu. Jego wiary nie mogły naruszyć żadne kataklizmy. Również jego przekonanie, że istnieje przekraczający wszelkie ludzkie pojęcie pierwotny czy ostateczny sens świata, który obejmuje sobą cierpienie, udrękę i śmierć, nie zostało nigdy zachwiane – nawet w czasach Holokaustu, kiedy stracił całą rodzinę. Podejrzane byłoby dla niego raczej wyobrażenie Boga, którego można racjonalnie pojąć i którego czyny można przeniknąć. Wielokrotnie podkreślał, że człowiekowi nie wolno uzurpować sobie prawa do interpretacji nieskończonego „sensu całości”, lecz winien on raczej „pochylić się w obliczu tajemnicy”, ponieważ zasięg ludzkiego pojmowania jest zbyt mały i ograniczony na to, by badać „Boże drogi”.

Może w dokonaniu tego trudnego, wymaganego od nas aktu „pochylenia się” przyda się pewne porównanie:

Dwa ptaki siedzą na kablu przewodu wysokiego napięcia, który zasila światłem i energią wielkie miasto, i rozmawiają. Jeden mówi: „To śmieszne, jakie bezsensowne rzeczy ludzie robią! Rozpinają drut, na którym nie mogą siedzieć, bo nie mają skrzydeł, żeby na niego wyfrunąć, a poza tym są na to o wiele za ciężcy. Po co oni to robią?” „Tak – odpowiada drugi – a dla nas, ptaków,

Prawdziwa sztuka życia polega na tym,
by w codzienności widzieć cudowność.

INGRID THIER

też nie potrzeba rozpinąć specjalnych drutów. Mamy przecież do siedzenia dość gałęzi w lesie. No, rzeczywiście, to, co tu wisł, jest zupełnie zbędne...”.

Pomyślmy tylko, jak często występujemy sami w roli tych dwóch ptaków – jak często siedzimy na drucie naszego bólu i nic nie pojmujemy.

Kiedy więc nie widzimy sensu w jakimś smutnym wydarzeniu, co jest rzeczą powszechną, wolno nam w naszej „niemożności widzenia sensu” gorzko płakać. Czego jednak nie powinniśmy czynić, to wnioskować z tej naszej „niemożności widzenia sensu” o absolutnej bezsensowności, chaotyczności i absurdalności stworzenia. Z perspektywy Bożej może to wyglądać inaczej.

TYDZIEŃ 45

KWIATY NA DWORCU

Prowadziłam kiedyś kurs dokształcający w pewnym północnoniemieckim mieście i z Monachium, gdzie wówczas mieszkałam, jeździłam tam koleją. Impreza się udała, a na pożegnanie uczestnicy wręczyli mi wspaniały bukiet kwiatów. Z tym bukietem orchidei w jednej ręce i swoją walizeczką w drugiej, zmagając się z lodowatym wiatrem, szłam na dworzec i zastanawiałam się w duchu, co mam z tymi kwiatami począć. Jeśli powiozę je z sobą do domu w ogrzewanym wagonie, to po dziewięciu godzinach jazdy dotrą tam zwiędnięte, a może nawet uschną. Rzeczą najprostszą byłoby od razu na dworcu włożyć je do kontenera na śmieci. Szkoda byłoby jednak tych pięknych kwiatów, w których wybranie, jak mi się zdawało, włożono wiele serdecznego uczucia. Nie mogłam się zdobyć na to, by je wyrzucić, wsiałam więc z nimi do pociągu.